

Legendy Okrągłego Stołu

W 1989 roku sceptycznie podchodziłem do obrad Okrągłego Stołu. Dziś uważam, że był to ruch w dobrą stronę – mówi **prof. Andrzej Paczkowski** w rozmowie z **Andrzejem Brzozowskim** i **Janem Olszkiem**

Czy Okrągły Stół to była transakcja epoki?

Magdalena: transakcja epoki to tytuł – wydanej jeszcze w 1990 roku – książki Krzysztofa Dubińskiego, który był sekretarzem gen. Czesława Kiszczaka. W czasie poufnych rozmów w Magdalence robił (jawnie) notatki, które opublikował. Chyba ta właśnie formuła rozpoczyna serię negatywnych określeń negocjacji Okrągłego Stołu. Bardziej wprost mówi się o zdradzie czy porozumieniu elit. Dubiński chyba nie miał negatywnego stosunku do tego wydarzenia, ale używając takiej formuły, w pewnym sensie uruchomił myślenie spiskowe. Inna sprawa, że poszukiwanie spisku często zaczyna się wówczas, gdy podczas zawierania porozumienia politycznego czy społecznego żadna ze stron nie ma demokratycznej legitymizacji, a negocjacje odbywają poza ustawowo umocowanymi instytucjami (np. parlamentem).

PZPR nie miała demokratycznego mandatu – to oczywiste, ale przecież o opozycji mówi się „demokratyczna”.

Władza uważała, że ma formalną legitymizację, choćby dzięki temu, że trzy lata wcześniej odbyły się wybory, w których lista Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego oficjalnie uzyskała większość, a duża część uczestników obrad Okrągłego Stołu po stronie rządowej była posłami na sejm. Ponieważ wiadomo, jak się odbywały wybory w PRL – jedna lista, nacisk, monopol propagandy etc. – raczej nie można tym osobom przyznać demokratycznej legitymizacji.

A druga strona?

Sytuacja jest dosyć skomplikowana. Można np. uważać, że demokratyczną legitymizację mieli ci, którzy w 1981 roku zostali

Prof. Andrzej Paczkowski

(ur. 1938) – historyk, członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej; wcześniej przez dwie kadencje zasiadał w Kolegium IPN. Od września 1980 roku członek NSZZ „Solidarność”, w 1983 roku jeden z założycieli Archiwum Solidarności. Autor wielu monografii, m.in. *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989* (1995 i późn.), *Wojna polsko-jaruzelska* (2007).



Fot. P. Życieński

wybrani do władz związku przez Walny Krajowy Zjazd Delegatów Solidarności. Jednak trzeba pamiętać, że wybierali ich tylko członkowie Solidarności. Nie była to więc reprezentacja całego społeczeństwa, choć znaczącego jego segmentu. Poza tym wśród osób, które z ramienia Solidarności znalazły się przy Okrągłym Stole, ogromna większość nie była wybierana na owym zjeździe. Nie miała więc nawet takiej legitymizacji. Lech Wałęsa, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk czy Mieczysław Gil, wybrani w 1981 roku, stanowili mniejszość. A więc stronę opozycyjną reprezentowały w większości osoby bez formalnej legitymizacji demokratycznej, stronę rządową zaś z legitymizacją w istocie sfalszowaną. Z tego punktu widzenia była to ugoda elit, które nie mając ogólnospołecznej legitymizacji demokratycznej, podjęły negocjacje i szukały kompromisu.

Do tego dochodzi jeszcze jeden element: władza nie ze wszystkimi chciała rozmawiać.

Tak, ale ostatecznie rozmawiała z osobami, które nie ona wyznaczała. Wyznaczył je przede wszystkim Lech Wałęsa i jego bezpośrednie polityczne zaplecze (Komitet Obywatelski). Głos miała też Krajowa Komisja Wykonawcza Solidarności.



A z kim władza nie chciała rozmawiać?

Z tymi, których uważała za radykałów. Najdłużej stawiano opór przeciwko udziałowi Adama Michnika i Jacka Kuronia. Zresztą władza trzymała ich wcześniej w więzieniu, więc trudno się dziwić, że nie miała do nich zaufania. Po stronie opozycyjnej były środowiska, które niejako same wykluczyły się z obrad, gdyż kontestowały sam pomysł tych negocjacji. Niektóre środowiska nie zostały zaakceptowane przez Wałęsę i *mainstream* wokół niego skupiony. Tak stało się np. z Grupą Roboczą Komisji Krajowej, w której imieniu występował Jerzy Kropiwnicki i Andrzej Słowik. Byli gotowi do rozmów, ale ze względu na konflikt personalno-polityczny nie zostali włączeni do Komitetu Obywatelskiego. Stali się więc radykalną opozycją, podobnie jak Konfederacja Polski Niepodległej, Solidarność Walcząca czy Federacja Młodzieży Walczącej i wiele innych, stosunkowo małych grup politycznych.

Sugestywnym symbolem tego „porozumienia elit” są zdjęcia z Magdaleny ukazujące przedstawicieli strony rządowej i opozycyjnej podczas wspólnych biesiad, przy alkoholu, w kordialnej atmosferze. Czy te fotografie oddają rzeczywistą atmosferę rozmów i zażyłość porozumiewających się stron?

To są zdjęcia zrobione przez SB, część z nich robiono jawnie, część z ukrycia. Warto wyjaśnić, czym była osławiona Magdalena. W trakcie negocjacji – szczególnie jeśli są długotrwałe i uczestniczy w nich wiele osób – często powstają mniej formalne grupy reprezentujące obie strony. Spotykają się one dodatkowo po to, aby dać rozmowom nowy impuls lub wybić z jakiegoś impasu. Jednym ze sposobów na to jest spotkanie w węższym gronie, bez świadków, co uruchamia inne sposoby i techniki komunikowania się, trudne do zastosowania przy publicznej wymianie poglądów, której przysłuchują się dziennikarze, a kamery to rejestrują. W trakcie takich medialnie eksponowanych negocjacji pojawia się tendencja do wyostrowania, a nie łagodzenia stanowiska. Skoro zaś doszło do impasu, to trzeba raczej łagodzić, o co łatwiej w węższym gronie. Po I wojnie światowej, w czasie konferencji pokojowej w Paryżu, w której uczestniczyły setki osób, kilku wielkich – jak Georges Clemenceau, Thomas Woodrow Wilson czy David Lloyd George – i paru innych najważniejszych polityków zbierało się i w swoim gronie podejmowało decyzje.

Przy drinku?

Czemu nie? Gdyby był tam Churchill, na pewno pito by whisky. Drinki w Magdalence to osobna rzecz. W odróżnieniu od rozmów, które toczyły się w Pałacu Namiestnikowskim, odbywały się one poza miastem, w zamkniętym obiekcie i niektóre z nich trwały wiele godzin. Jeśli spotkanie zaczynało się o 8.35 i trwało do 16.00 (jak 7 marca) albo zaczynało o 12.00 i trwało do 23.45 (jak 29 marca), trudno było siedzieć o suchym pysku, robiono więc przerwę na obiad czy kolację. W czasie licznych konferencji międzynarodowych skonfliktowane strony wspólnie jedzą śniadanie albo kolację. Zapewne nie dla wszystkich jest to przyjemne, ma



Fot. Jan Bogacz / FORUM

▶ Część opozycji nie tylko nie uznała porozumienia z komunistami, lecz postrzegala je jako zdradę: na zdjęciu manifestacja przeciwko ustaleniom Okrągłego Stołu i wyborom 4 czerwca; Gdańsk, czerwiec 1989 roku.

charakter niejako rytualny, ale jednocześnie ułatwia komunikację. Siedząc przy stole, rozmawia się, niekiedy wypije, wzniesie toast – to rozluźnia atmosferę. Zresztą pierwsza (wrzesień 1988) i druga (styczeń 1989) rozmowa w Magdalence miały charakter przygotowawczy, odbyły się, zanim rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu.

Jedną osobą ze strony solidarnościowej, która uczestniczyła we wszystkich trzynastu rozmowach w Magdalence, był Tadeusz Mazowiecki, a np. Lech Kaczyński uczestniczył w siedmiu spotkaniach, Wałęsa zaś tylko w sześciu. To pozwala bardziej racjonalnie przyjrzeć się temu, czym była Magdalena. Zresztą to, co tam uzgodniono, i tak musiało zostać przyklepane w publicznej części negocjacji. Nie było tak, że przy Okrągłym Stole zawarto jedno porozumienie, a w Magdalence inne. Te spotkania były instrumentem pomocniczym w negocjacjach Okrągłego Stołu. Zresztą zapisy rozmów w Magdalence są od dawna znane – nie tylko te, które robił Dubiński, lecz także te, które tworzył ks. Alojzy Orszulik. ▶

▶ Wspólny toast w Magdalence: od lewej: Lech Wałęsa, Adam Michnik i Czesław Kiszczak. Takie zdjęcia dla wielu osób były (i są) świadectwem fraternizacji przedstawicieli opozycji i władzy oraz dowodem na to, że Okrągły Stół był „porozumieniem elit”; 16 września 1988 roku



Fot. East News

Często mówi się o niemoralności tej fraternizacji, że nie wypadało siedzieć przy jednym stole z katami. Czy ta fraternizacja rzeczywiście nastąpiła? Zdjęcia pokazują tylko część zachowań działaczy Solidarności, które były różne, np. Frasyniuk nie chciał podać ręki gen. Kiszczakowi.

Nie wszystkim zarzuca się tę fraternizację – nie zarzuca się jej Lechowi Kaczyńskiemu, Władysławowi Frasyniukowi czy Tadeuszowi Mazowieckiemu. To zarzut głównie do Michnika. Ale on dokonał jej już po wszystkim, po 1990 roku. Zresztą od dawna miał on koncepcję polityczną, której do tej pory broni: wszyscy mają prawo korzystać z demokracji i w niej uczestniczyć. Ponadto, jak sądzi, uważa on, że ci, którzy ponosili współwinę za przestępczy charakter PRL, samą zgodą na negocjacje przynajmniej częściowo ją zmasali. O ile wiem, nie ma przekazów na temat picia bruderszaftów w Magdalence. Podnoszenie tego to raczej szukanie uzasadnień dla odrzucenia całej koncepcji Okrągłego Stołu. Oczywiście można i należy zastanawiać się nad tym, czy można było wyjść z kryzysu inaczej niż przez negocjacje. Po stronie opozycyjnej było dużo środowisk przeciwnych rozmowom, wielu takich, którzy uważali, że należy walczyć – na ulicach, ulotkami, broszurami – aż „czerwony” upadnie. Liczono na strajk powszechny, na rewoltę, na coś takiego jak kijowski Majdan.

Po stronie partyjnej były podobne myśli: w 1988 roku zastanawiano się, czy strajków nie zdusić po prostu siłą.

Tam też byli przeciwnicy rozmów, którzy uważali, że to jest zdrada ideologii. Wydaje mi się, że przekonanie, iż rozmowy w Magdalence są dowodem istnienia spisku, ma dość słabe podstawy. Często wmontowuje się je w szerszą teorię głoszącą, że w ogóle cała zmiana systemowa państw komunistycznych została przygotowana przez odpowiednie komórki KGB i sowieckiej partii, a więc transformacja była oszustwem, gdyż chodziło o utrwalenie władzy, tyle że w zmienionym sztafażu. Tę koncepcję m.in. prezentuje prof. Jadwiga Staniszkis: zmiany (pozorne) zaplanować mieli sowieccy wojskowi oraz Władimir Kriuczukow, szef KGB. Świadczyć o tym ma np. fakt, że zmiany wszędzie – z wyjątkiem Rumunii – dokonały się bezkrwawo, a ludzie związani z *ancien régime* znaleźli dobre na ogół miejsca w zmienionych warunkach. Jednak to, co stało się później, dowodzi, że albo „koncepcji Kriuczukowa” nie było, albo jej autor gruntownie się pomylił, bo bieg wydarzeń doprowadził do rozpadu ZSRR i teraz Władimir Putin stara się reanimować imperium. Według mnie konstrukcja „zaplanowanej zmiany” oparta jest na błędnej metodologii, a na jej istnienie nie ma materialnych dowodów ani wiarygodnych świadectw.

Może po prostu sytuacja rozwinęła się inaczej, niż sobie zakładali?

Właśnie dlatego nie można absolutyzować teorii spiskowej. Spisek może być początkiem jakiegoś procesu, natomiast kontrolować to, co się później będzie działo, jest dużo trudniej.

No więc spisek PZPR mógł polegać tu na tym, że najpierw podzielił się częściowo władzą...

... to nie był spisek! To było niemal wprost powiedziane: robimy trochę miejsca na ławce władzy, aby Solidarność stała się współodpowiedzialna za to, co musimy zrobić w gospodarce i sferze społecznej.

I za to, co zostało już zrobione. Czy likwidacja Stoczni Gdańskiej nie była taką zagrywką?

Decyzja premiera Mieczysława Rakowskiego o likwidacji stoczni była w pewnym sensie testem na to, jak reaguje społeczeństwo. A społeczeństwo jako takie nie zareagowało właściwie w ogóle, ludzie nie wyszli na ulice, nawet stoczniowcy nie wyszli. Można było więc uznać, że w kwestii reform gospodarczych Rakowski ma wolne pole do działania.

Jedna ze spiskowych teorii zakłada, że komuniści przy Okrągłym Stole oddali władzę w zamian za coś w rodzaju abolicji, za możliwość ustawienia się w nowym systemie. Czy rzeczywiście tak było? Czy chcieli oddać władzę?

Nie. Chcieli natomiast wciągnąć w orbitę władzy opozycję – a właściwie jej część. Podobnie, tyle że na znacznie większą skalę, jak próbowano w 1986 roku przy powoływaniu Rady Konsultacyjnej przy gen. Jaruzelskim jako przewodniczącym Rady Państwa. Wtedy też chodziło o to, aby wciągnąć niektórych ludzi opozycji do udziału w sprawowaniu władzy na platformie PZPR. W 1989 roku rozważano m.in. powołanie rządu koalicyjnego z wicepremierem i paroma ministrami z Solidarności. Ta koncepcja funkcjonowała po wyborach, kiedy władzy zaczął się palić grunt pod nogami, bo głosowanie pokazało, że nie ma ona legitymizacji społecznej.

Władzę jednak chciano zachować i powierzenie Kiszczakowi misji tworzenia rządu wskazywało, że miał być to raczej układ „nasz prezydent, nasz premier”.

Oczywiście próbowano. Komuniści mieli zresztą bardzo poważne „bezpieczniki” – jak to nazywał jeszcze podczas stanu wojennego Jaruzelski – przede wszystkim w postaci urzędu prezydenta z ogromnymi kompetencjami. Miał on gwarantować panowanie nad sytuacją nawet po ewentualnych wolnych wyborach, które zaplanowano na cztery lata po tych kontraktowych z 4 czerwca. Taki plan Rakowski przedstawił podczas rozmowy z przedstawicielami episkopatu na początku stycznia 1989 roku.

Dlatego tak trudne były negocjacje dotyczące podziału miejsc w parlamencie i sposobu wyboru prezydenta.

Tak zwykle toczą się negocjacje: oferta, kontrofert, szukanie kompromisu. Stworzono silny urząd prezydenta – oczywiście było, że głównym kandydatem zostanie Jaruzelski – a ceną za to były wolne wybory do senatu. Choć wtedy nikt nie myślał, że skończą się wynikiem 99 do 1 dla Solidarności. Obóz rządzący uważał, że należy doprowadzić do wyborów do sejmu, co będzie dla niego legitymizacją, ale tak je skonstruowano, że będzie można powo-

► Przedstawiciele Kościoła w negocjacjach władzy z opozycją odgrywali rolę pośrednika, moderatora i gwaranta porozumień; na zdjęciu od lewej: Stanisław Ciosek, ks. Alojzy Orszulik, Tadeusz Mazowiecki i Czesław Kiszczak, 1989 rok

łać taki rząd, jaki zechce, a także będzie zabezpieczenie przed możliwością zmiany konstytucji przez opozycję. Stąd koncept zapewnienia sobie co najmniej 65 proc. miejsc w sejmie, a przeciw ekipa rządząca liczyła też na sporą część z puli 35 proc. oddanej do wolnej gry wyborczej. Wiele rzeczy rozgrywało się w sferze psychicznej: w obozie władzy obawiano się – Jaruzelski też się obawiał – tego, co stanie się, jeśli nie przerwie się spirali kryzysu gospodarczego. Brano pod uwagę możliwość gwałtownych wybuchów społecznych, nad którymi także Solidarność nie będzie mogła zapanować, a więc gdy będą następny raz negocjować, znajdą się w znacznie gorszej sytuacji niż w lutym i marcu 1989 roku.

Powiedzmy zatem jasno, co w ogóle skłoniło komunistów do negocjacji – to nie była przecież dobra wola ani nagły przypływ miłości do demokracji.

Konieczność wyjścia z kryzysu gospodarczego, o którym wiedzieli, że będzie kosztowne społecznie i grozi wybuchem protestów. Chcieli ten protest zminimalizować, wciągając do współodpowiedzialności za kraj przeciwnika politycznego.

Ważnym elementem tej okrągłostołowej układanki był także Kościół.

Rola Kościoła była ogromna. Już od 1976 roku, jeszcze przed wyborem Karola Wojtyły na papieża, Kościół wyrabiał sobie pozycję moderatora, nie zachęcał do przemocy, a wręcz odwrotnie – hamował obie strony. Jednocześnie stał się dla obu stron gwarantem uczciwości kontrpartniera. W takiej roli wielokrotnie występował w stanie wojennym, ale nie miało to wówczas większego znaczenia, ponieważ Jaruzelski nie zamierzał negocjować z przeciwnikiem, którego uważał za definitywnie pokonanego. Natomiast kiedy doszło do rozpoczęcia rozmów, nie byłyby one możliwe bez udziału biskupów. Pierwsze spotkanie Kiszczak-Wałęsa odbyło się w asystencji księży. W żadnym innym kraju komunistycznym Kościół nie miał tak silnej pozycji ani takich ambicji.

Przejdźmy do białej legendy. Mówi się często, że władze zachowały się lojalnie, oddając władzę...

Nie oddając – dopuszczając do rządzenia.

Ale mit głosi, że władzę tak swobodnie oddano. Jednym z argumentów jest to, że po obu stronach były

radikalne siły, które w innym razie mogłyby doprowadzić do rozlewu krwi. Szczególnie towarzysze oddani ZSRR mogłyby zrobić przewrót i rozwalić Okrągły Stół. Ten mit często pojawia się wśród dzisiejszych obrońców gen. Jaruzelskiego, który jakoby działał wbrew swojemu aparatowi.

Rzeczywiście zrobił to wbrew opinii większości aparatu partyjnego, bezpieczeństwa i kadry oficerskiej. A mógł to zrobić, dlatego że miał pełnię władzy. O ile Wałęsa mógł się obawiać, że np. Kornel Morawiecki, Leszek Moczulski czy Jerzy Kropiwnicki wywołają demonstracje – zjawi się wojsko i ZOMO, poleje się krew – to Jaruzelski mógł być pewien, że aparat będzie wprawdzie zgrzytał zębami, ale go posłucha.

Sam zresztą na to zapracował, eliminując wcześniej konkurentów.

Aparat partyjny nie chciał żadnych rozmów. Część była zwolennikami „drogi chińskiej” (czyli reform gospodarczych, ale bez zmian ustrojowych), jednak większość uważała, że żadne zmiany nie są potrzebne. W listopadzie 1988 roku jeden z partyjnych ośrodków socjologicznych zrobił badanie opinii sekretarzy komitetów wojewódzkich – nie tylko I sekretarzy, lecz wszystkich sekretarzy, a w każdym z 49 województw było ich kilku, zatem razem blisko 200 osób. Była to więc dobra reprezentacja „wyższej klasy średniej” w aparacie PZPR. Partyjni socjologowie uznali, że blisko 60 proc. ankietowanych należy określić jako zwolenników „totalitarnych metod sprawowania władzy”, a aż 85 proc. opowiadało się za „nieprzekraczaniem fundamentalnych cech systemu [...] jakie leżą u jego podstaw od 1948 r.”. A więc od czasów Bieruta! Twardogłowi – „beton” w ówczesnej terminologii – nie mieli jednak lidera, bo Jaruzelski zmarginalizował wszystkich możliwych kandydatów. Oczywiście musiał z betonem powalczyć: w styczniu 1989 roku na posiedzeniu plenarnym KC ponad 25 proc. osób głosowało przeciwko relegalizacji Solidarności. Zwykle KC był jednomyślny, więc był to rzeczywiście wyłom i aby uniknąć otwartego kryzysu, zastosowano chwyt socjotechniczny: generałowie Jaruzelski, Florian Siwicki i Kiszczak oraz premier Rakowski „oddali się do dyspozycji” KC, czyli zagrozili dymisjami. A było oczywiste, że ustąpienie Jaruzelskiego byłoby katastrofą, bo nie miałby kto go zastąpić. Nawet Sowieci od 1981 roku nie mieli lepszego kandydata do ►

rządzenia PRL, byli po prostu skazani na Jaruzelskiego. Więc, w odróżnieniu od Wałęsy, Jaruzelski kontrolował swój aparat – państwowy, partyjny i wojsko.

Elementem spiskowej teorii jest też łączenie Okrągłego Stołu z uwłaszczeniem nomenklatury. W myśl zasady „odpuszczamy politykę, ale bierzemy gospodarkę”.

To jest chyba jedno z bardziej racjonalnych wytłumaczeń zmian, ale czy uwłaszczenie nomenklatury musiało wiązać się z Okrągłym Stołem i perspektywą oddania części władzy? Przecież wystarczyłoby do tego reformy Rakowskiego, czyli pewien wariant „drogi chińskiej”, do czego nie był potrzebny Okrągły Stół. Był on właściwie przeszkodą, ponieważ uwłaszczenie byłoby z nim trudniejsze, gdyż mogło zostać poddane demokratycznej kontroli. Tak zwanych spółek nomenklaturowych powstało wiele, ale większość z nich nie przetrwała. Tysiące osób przejęło w różny sposób elementy majątku państwowego, ale większość nic wielkiego z nim potem nie zrobiła. Powstało trochę „fortun nomenklaturowych”, ale więcej na transformacji skorzystali ci, którzy już wcześniej uprawiali prywatne biznesy, mieli powiązania z ludźmi z nomenklatury czy służb specjalnych. Wielkich karier czysto nomenklaturowych było niewiele: Bank Inicjatyw Gospodarczych odniósł sukces, ale np. gmach po Universal u Dariusza Przywieczerskiego dziś jest bliski ruiny, a sam Przywieczerski ukrywa się gdzieś w świecie, katastrofą zakończyła się biznesowa działalność Ireneusza Sekuły, wicepremiera w rządzie Rakowskiego, nie poprawił swojej pozycji biznesowej od dawna właściciel Bacutilu min. Mieczysław Wilczek. Największe domeny finansowe w III RP – np. Czarneckiego, Solorza, Kulczyka, Sołowowa czy Krauzego – wywodzą się nie z kapitału nomenklaturowego, ale raczej z prywatnych inicjatyw powstałych jeszcze przed 1989 rokiem. Jak one powstawały, to inna sprawa.

Skorzystali ci, którzy już na starcie potrafili poruścić się po świecie wolnego rynku i finansów.

Tak. Jak się wydaje, specjalną rolę odgrywają (też zapewne nie wszyscy) ludzie ze służb, zwłaszcza z wywiadu. Rzeczywiście mieli oni kapitał, ale w zasadzie nie finansowy, lecz społeczny: znali języki, znali świat, mieli dobre pozycje w finansach, ministerstwach gospodarczych, centralach handlu zagranicznego. Takim ludziom na ogół dobrze dziś się żyje, są np. doradcami w różnego rodzaju firmach. Ale czy np. można powiedzieć o firmie Jerzego Urbana, że to „kapitał nomenklaturowy”? On zarobił na pomysły. Zaczął wydawać tygodnik „Nie”, którego produkcja kosztowała grosze, a przez pewien czas sprzedawał prawie milion egzemplarzy. Poszedł na cynizm, antyklerykalizm, nostalgię za „złotymi czasami” Gierka, wulgarność – zakładał, że ludzie to kupią. I nie pomylił się – kupili.

Zarówno biała, jak i czarna legenda Okrągłego Stołu opierają się na założeniu, że wszystko było z góry wiadomo: komuniści oddają władzę – opozycja bierze.

To podstawowy błąd analizy: założenie, że jeśli coś się stało, to

znaczy, że musiało się stać. Wcale nie musiało być Okrągłego Stołu. Można sobie wyobrazić inne scenariusze. Nie można też zakładać, że skoro coś się stało, to było to zaplanowane. I to tak właśnie zaplanowane, jak się stało. Oczywiście, była zaplanowana zmiana, ale w zamyśle ekipy Jaruzelskiego miała to być głęboka reforma gospodarcza połączona z próbą stabilizacji politycznej. Zdawano sobie sprawę z tego, że aby to osiągnąć, należy wykonać serię ustępstw wobec opozycji czy społeczeństwa, ale trzeba pamiętać, że nie wszyscy Polacy byli zwolennikami opozycji. Wystarczy popatrzeć choćby na wybory 1989 roku: w głosowaniu wzięło udział 62 proc. uprawnionych, Solidarność uzyskała około dwóch trzecich głosów. Można zatem powiedzieć, że opozycję popierało ok. 40 proc. Polaków. Duża część nie miała żadnej opinii. Dlatego zakładanie, że uda się zaplanować i wykonać zgodnie z tym planem wielką zmianę społeczną, jest błędne. Choć oczywiście zdarzają się sytuacje, w których nawet ogromne zmiany zaczynają się w związku z działaniami niewielkiej grupy ludzi i ich projekt w dużym stopniu jest realizowany. Przykładem może być rewolucja bolszewicka.

Przed 25 laty był Pan dość sceptyczny co do powodzenia rozmów Okrągłego Stołu. Co Pan sądził na temat ich przyszłych rezultatów wówczas i co sądzi Pan o tym dzisiaj? Czy był jakiś inny scenariusz, jaki Solidarność mogła wybrać?

Nie miałem wówczas żadnego pomysłu. Uważałem, że Okrągły Stół to będzie jakieś oszustwo ze strony władz, na którym opozycja straci. Ale nie byłem zwolennikiem Solidarności Walczącej czy Federacji Młodzieży Walczącej, czyli zadym. Uważałem, że są naturalne i że może to i dobrze, że się odbywają, ale nie mogą przynieść trwałego rozwiązania. Dziś stwierdzam, że nie miałem racji, ponieważ nie było to oszustwo, koncepcja drugiej strony była dosyć jasno wyłożona, negocjacje zaś były ruchem w dobrą stronę – nie tylko dla Polski. Bez nich komunizm nie zostałby tak szybko zmieniony i jest wielce prawdopodobne, że zmiany przyjęłyby inne formy, że byłyby to zapewne formy gwałtowne, brutalne, z ogromną liczbą ofiar. Można sobie stawiać pytanie: czy lepiej za cenę krwawej rewolucji mieć jasno wyznaczony punkt startu w niepodległość i demokrację, czy może lepiej grzeznąć w niepewności, kiedy skończył się komunizm, ale za to mieć więcej wolnych miejsc na cmentarzach?

Alternatywą mogło też być powolne gnienie systemu, które nastąpiło w niektórych państwach byłego ZSRR, gdzie nie było opozycji tak wyraźnej jak Solidarność, nie było nowych elit.

Tam nastąpiło przetworzenie systemu totalitarnego w autorytaryzm posttotalitarny. Pisał o tym prof. Zbigniew Brzeziński, że jest to jedna z faz wychodzenia z komunizmu. Białoruś, Kazachstan, Uzbekistan, sama Rosja. Z wyjątkiem państw Europy Środkowo-Wschodniej i państw nadbałtyckich czy Gruzji, wszędzie tam, gdzie skończył się komunizm w „klasycznej”, totalitarnej formie, powstały systemy autorytarne. 🍷